

MIROŚŁAWA

KARETA

Najkrótsza
noc

MANDO 

Pół roku wcześniej
Smãtk

Piasek, grudki gliny i kłaczki trawy wystrzeliły w powietrze, gdy koła motoru z chrzęstem wryły się w polną drogę nad jeziorem. Silnik zawył raz jeszcze i umilkł, a wszystko wokół – od przy-
czajonego w sitowiu perkoza poczynając, na krowach pasących się za lasem kończąc – odetchnęło z ulgą. Kierowca zaparł się nogami w ziemię, zdjął z głowy kask i nie zsiadając ze swojego ścigacza, spojrzął ponad pasem przybrzeżnych trzcin na otwierającą się dalej gładką taflę wody. Dający się słyszeć tu i ówdzie leciutki plusk oraz bańki powietrza unoszące się na powierzchni świadczyły o tym, że szczupaki i węgorze wyruszyły już na przedwieczorne łowy.

Młody człowiek – bo mimo kępki całkiem siwych włosów w czarnej czuprynie nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia kilka lat – nie zwracał jednak uwagi na subtelne poruszenia przyrody. Wyjął lornetkę i skierował ją na przeciwległy brzeg. Konkretnie na drewniany pomost wychodzący głęboko w jezioro i siedzącą na pomoście dziewczynę. Długą chwilę wytężał wzrok, międląc w zaciśniętych zębach wiązaną przekleństw. Nie mógł rozpoznać jej rysów, była za daleko.

Dopiero wyraźny szelest krzaków za plecami sprawił, że ode-
rwał oczy od okularu.

– Dobri dzień.

Jakiś miejscowy wyszedł z lasu, stanął na ścieżce i zagapił się w połyskliwą dal. Młodzieniec obejrzał się niechętnie.

– Bry – odburknął.

Kusym spojrzeniem obrzucił natręta od stóp do głów i trochę się zdziwił. Skórzany kapelusz jak z Dzikiego Zachodu,

powycierany, lecz bardzo stylowy, gruba koszula z podwiniętymi rękawami, myśliwska kamizelka – zapewne za killkanaście setek, spodnie znanej firmy – rozpoznawalne na pierwszy rzut oka z powodu idealnego kroju, również markowe traperskie buty...

– Tutejszy? – zapytał już trochę uprzejmiej, choć kaszubski zaśpiew przybysza właściwie nie pozostawiał wątpliwości.

Słyszając potwierdzające chrząknięcie, kontynuował:

– Szukam takiej jednej wiochy, w której zaczyna się spływ Bukowiną. Nie pamiętam nazwy.

– A to szkoda. Bo spływ Bukowiną można zacząć z kilku miejsc. – Kaszuba mówił teraz najpłynniejszą polszczyzną, bez żadnego akcentu. – Zależy, na czym komu zależy.

– No właśnie! – Motocyklistę wyraźnie zdenerwowała ta odpowiedź. – Żeby to ja, kurwa, wiedział! Szukam tu... tego... kogoś... Jakieś prywatne pole namiotowe to miało być nad jeziorem, cholera, zapomniałem nazwy...

Znowu spojrzął przez lornetkę na drugi brzeg i zaklął jeszcze soczyściej.

– Co za zadupie! – dorzucił. – Naprawdę już trudno o większą dziurę!

W oczach człowieka z lasu zamigotało coś – trochę kpiąco, a trochę złowrogo – ale motocyklista zajęty wciskaniem lornetki na powrót do sakwy niczego nie zauważył.

– Dlaczego zaraz dziura? Każdy tu znajdzie to, czego szuka. I na wodzie, i na lądzie. A co się tyczy spływu... – Miejscowy nie zmienił tonu. Jego mina była nieprzenikniona. – Jeśli ktoś pragnie adrenaliny i silnych wrażeń, to wystartuje koło mostu przy drodze z Sierakowic. Jeśli chce piękna i spokoju, to pojedzie aż do Lubygościa i przepłynie cały szlak Jezior Potęgowskich. A jak chce się dobrze ukryć...

– Ukryć?! Dlaczego niby ukryć? Przed kim?! – Młody człowiek podniósł szybko wzrok.

– A skąd ja to mogę wiedzieć? – Kaszuba wzruszył ramionami. – Z różnymi sprawami tutaj ludzie przyjeżdżają, z różnym bagażem. Ty na przykład, zdaje mi się, za kimś gonisz...

– Co za przenikliwość! – zakpił motocyklista, choć złość w nim aż bulgotała. – A po czym to niby można poznać? Na czole mam wypisane?!

– Sam to przed chwilą powiedziałeś.

– A idź do diabła! – Właściciel ściąga odwrócił się gwałtownie. Nałożył na głowę kask, ubrał rękawice i już miał przekręcić kluczyk w stacyjce, gdy nagle się zawahał. Uniósł przyłbicę.

– Już sobie przypomniałem – mruknął. – Jezioro Kamienickie. Czy to tu?

– Zupełnie nie tu – padła odpowiedź.

– No nie! – Ze zdumienia aż się podniósł na siedzeniu. – Głowę bym dał, że to jest właśnie to jezioro!

Tylko lekkie zmarszczenie brwi i wydęcie warg świadczyły o tym, że rozmówca traci cierpliwość. Wyjaśnił jednak grzecznie i wyczerpująco.

– To nie jest to jezioro. Musiałeś przegapić w Miechucinie odbicie z głównej drogi. Ale to nic. Ruszaj teraz z powrotem. Jak dojedziesz do asfaltu, skręcisz w prawo, a zaraz potem w pierwszą drogę w lewo, wzdłuż brzegów jeziora Junno. Masz tam dłuższy kawałek przez las w kierunku na Mirachowo. Gdy miniesz oznakowany skręt na rezerwat Kurze Grzędy, odbijesz w następną drogę na lewo. Gruntową. Ona doprowadzi cię do jeziora. Musisz je objechać.

Motocyklista zmrużył oczy, zastanawiając się nad czymś, ale utkwione w nim spojrzenie Kaszuby stało się nagle tak mocne i sugestywne, że się otrząsnął i gładko powtórzył:

– Prosto, w prawo, potem w lewo, kawałek przez las, rezerwat, objechać jezioro... He, he! Kurze Grzędy... – Zamknął przyłbice i sięgnął do stacyjki. – Swoją drogą, nazwy to tu macie jajeczne. Ale dzięki, ziom, kimkolwiek jesteś! – dokończył już pod nosem.

– Jestem Smątk, do usług. – Nieznajomy ukłonił się.

Odpowiedział mu tylko wizg silnika oraz fontanna ziemi i piasku, która trysnęła spod kół hondy. Wkrótce ryk motoru ucichł w oddali.

– Zapomniałem dodać, że teren tam jest dość grząski i można się zapaść, jak kto nie zna drogi – rzucił w przestrzeń człowiek w kapeluszu.

Zrobił kilka kroków w stronę jeziora, wyraźnie z siebie zadowolony, i odetchnął pełną piersią. W mętnej wodzie za ścianą trzciny dostrzegł gruby zielonkawy kształt powoli odbijający od brzegu. Skrzywił się z niesmakiem. Mumocz, szkaradny i podły sługa Morławy, wypływał właśnie na łowy. Ciekawe, czy mu się dziś poszczęści.

Smątk popatrzył na ledwie widoczny w oddali pomost. Dziewczyna siedziała tam nadal, złotorude kosmyki prawie całkiem zasłaniały jej twarz. Z wysuniętym koniuszkiem języka i wypiekami na policzkach pisała coś pracowicie w grubym zeszycie. Z tyłu za jej plecami skradał się bosy chłopak z gitarą. Na polu namiotowym, ukrytym za pasem gęstej zieleni, już zauważono jego nieobecność, ale nikt tego głośno nie komentował. Z przeciwnej strony, za lasem, wąską nitką asfaltu pędziła czarna honda varadero. Jej pograżony w myślach właściciel jeszcze nie wiedział, ku czemu zmierza.

Mężczyzna w kapeluszu uśmiechnął się krzywo i zmrużył oczy, w których nadal błyskały dziwne iskierki. Nie uszło jego uwagi, z jakim napięciem motocyklista obserwował przed chwilą brzeg jeziora. Coś się tu kroilo, jakaś większa heca.

Smátek, wielbiciel wszelkich awantur i niecnych żartów, przez chwilę się nad czymś zastanawiał. Z jego twarzy – pełnej isticie diabelskiej inteligencji, wypielęgowanej i zawsze przystojnej – nie znikał uśmiech. Potem poprawił kapelusz, odwrócił się i nie spieszenie wszedł w zarośla porastające brzegi Jeziora Kamienickiego. Sporo lat temu, a pamiętał wszystko tak dobrze, jakby to było zaledwie wczoraj, środkiem tego jeziora i brzegiem rzeki Bukowiny przebiegała polsko-niemiecka granica. Oj, działo się wtedy, działo! Działo się też i później...

Smátek westchnął. To były piękne czasy, to były osiągnięcia! Nie taka mierzwa jak teraz!

Szybko jednak opanował rozgoryczenie, był w końcu wysokiej klasy profesjonalistą. Czasy się zmieniały, przesuwaly granice. Ludzie byli inni, ich problemy również. Należało się dostosować, sięgnąć może po nieco subtelniejsze środki i metody. W końcu ludzie pozostali ludźmi. Tak czy owak, roboty ciągle jeszcze miał w bród.

Wolność. Nareszcie. Wakacje. Niebo całe w rózu i błękiecie, a nad jeziorem snuje się biały tuman. Jeszcze chwila i wyłoni się z niego zwiewna postać... Pewnie zielonowłosa nimfa o sinych ustach i spojzeniu mętnym jak mulista woda. Wyciągnie ramiona i zacznie mnie wabić w toń jeziora. A potem ślad po mnie zaginie...

Ada zastanowiła się dogłębnie, po czym szybko dopisała:

Gdybym miała w tej sprawie coś do powiedzenia, to wolałabym jednak chłopaka. Blondyna z włosami do ramion i z niebieskimi

oczami. Wtedy przynajmniej byłoby warto. I najlepiej, żeby miał ze sobą jakiś flet albo lutnię...

Na pomoście za jej plecami zadudniły kroki, dziewczyna wzdrygnęła się i zamknęła zeszyt. Nie lubiła, kiedy ktoś czytał jej przez ramię. W ogóle nie znosiła czyjejś obecności w pobliżu, kiedy pisała. To była bardzo intymna czynność, przelewanie duszy na papier, odślanianie najtajniejszych myśli i przeżyć. Dlatego robiła to tak rzadko, zwykle wieczorem, korzystając z tego, że rodzina zajmowała się własnymi sprawami. Trudno o chwilę prawdziwej samotności, gdy się dzieli pokój z młodszym bratem.

Ale tutaj, na końcu świata, mogła przecież być sama! Jezioro rozciągało się przed nią szeroko, migotliwie, za ciemną ścianą lasu zachodziło słońce, barwiąc chmury i tworząc z nich fantastyczne wzory. Pod jej stopami woda chlupotała o grube bale pomostu, w szuwarach coś pobekiwało obcym głosem, a trawa na brzegu aż wibrowała od ruchu owadów. Wszystko wkoło do niej przemawiało: dźwiękami, barwami, zapachem. Ada wprost kipiała w środku, by to mgnienie oka utrwalić, zapisać. Był to przedsmak czegoś wspaniałego – przygody, która miała się zacząć już jutro! Jeśli, oczywiście, nic nie stanie na przeszkodzie.

Dlatego ten intruz za plecami nie tylko ją zirytował, ale też przstraszył. Podszedł, postął chwilę, a potem klapnął na deski zaledwie o kilka metrów od niej. Ada ścisnęła w dłoniach gruby zeszyt, nawet nie patrząc w jego stronę. Miała nadzieję, że właśnie tego wieczoru ułoży się jej nowy wiersz. Już nawet zaczął się układać, przybierając postać wynurzającego się z mgły młodzieńca. A tu masz. Diabli nadali natręta.

Siedziała naburmuszona, wbijając wzrok w dal. Czuła obecność przybysza tak wyraźnie, jakby oparł się o nią ramieniem.

To nie mogła być Irmina, kroki były zbyt ciężkie. A poza tym przyjaciółka nigdy nie siadała tak bez słowa, ot, żeby się pogapić na wodę czy na niebo. Nie, Irmina na pewno brała w tej chwili prysznic po całodziennej wyczerpującej podróży.

– Ja ci dobrze radzę, korzystaj, póki jeszcze mamy dostęp do zdobyczy cywilizacji. Jak jutro wypłyniemy, to o ciepłej wodzie będziesz sobie mogła tylko pomarzyć! – przestrzegła Adę głosem doświadczonej turystki. Którą zresztą była.

Pomimo to Ada wybrała kąpiel w jeziorze, zanim jeszcze zaczęły się po nim snuć przedwieczne mgły. Teraz, otulona w gruby polar, obserwowała, jak mrok z przeciwległego brzegu wpęła na migotliwą powierzchnię wody, jak przegania z nieba zorze oraz sprawia, że księżyc potężnieje i nabiera blasku. W sumie i tak już było za ciemno, żeby pisać. Ale mogłaby tu posiedzieć samotnie, pomyśleć i pomarzyć. Gdyby nie ten obcy cień przyczajony zaledwie kilka metrów dalej!

Wreszcie ostrożnie, nie ruszając przy tym głową, Ada odważyła się zerknąć na intruza. I od razu spłoszona odwróciła wzrok, trafiła bowiem prosto na beczelne, roześmiane spojrzenie. Siedział bokiem, wsparty rękami o deski pomostu i odchyłony do tyłu, z jedną nogą zgiętą w kolanie, a drugą spuszczoną nad wodę. Przyglądał się jej bez żadnego skrępowania, burak jeden.

– Piękny wieczór – usłyszała.

Wzruszyła ramionami, błędząc spojrzeniem po niebie. Miała nadzieję, że dotknięty jej obojętnością, pójdzie sobie tam, skąd przyszedł. On tymczasem siedział chwilę bez słowa, po czym zniemacka wyrecytował:

Za górą, za chmurą, za dalą
Promienie zagasty spalone,

Na niebie się gwiazdy kryształą –
Błękitne – różowe – zielone!...

Ada drgnęła.

– Leśmian? – zapytała mimo woli. I od razu tego pożałowała.

Uśmiechnął się i kiwnął głową. Sympatyczny miał ten uśmiech, rozbrajający. Bujna czupryna okalała mu głowę niczym aureola. Ze swoimi okrągłymi policzkami i małymi oczami – teraz zmrużonymi, ale błyszczącymi w opalonej twarzy jak dwa węgielki – wyglądał jak dobrze wyrośnięty hobbit.

I chyli się niebios opona,
I zda się tam śpiewnie i gwarnie,
Świat cały wyciąga ramiona,
Świat cały ku niebu się garnie!...

Dokończył jeszcze ostatnią zwrotkę, umilkł. Ada siedziała bez ruchu z opuszczoną głową, przejęta do głębi magią tej chwili. Wreszcie wstała i ruszyła w stronę brzegu. Najpierw złowiła jego zdziwione spojrzenie, a potem ze zdumieniem zarejestrowała, że młodzieniec miał ze sobą gitarę! Leżała za nim na starych wyszlizganych deskach i Ada wcześniej po prostu jej nie dostrzegła.

– Poczekaj! Zapomniałem się przedstawić, jestem Andrzej! – Zerwał się na równe nogi, wyciągając do niej rękę, ale minęła go jak powietrze i nieznacznie przyspieszając kroku, skierowała się do namiotu.

– Poczekaj! Jak masz na imię? – usłyszała za plecami, ale tylko jej kroki zadudniły na pomoście.

„Zgiń, przepadnij, maro!”, rzuciła w myślach dla dodania sobie animuszu.

Słońce zaszło, pole kempingowe było już ciemne i ciche. Jak na dość nietypową porę – połowę czerwca – nocowało tu dzisiaj całkiem liczne i różnorodne grono osób. Namioty rozsiane były w jak największej odległości od siebie, widać ich właściciele szukali miejsc ustronnych w tej wspólnej z konieczności przestrzeni. Chyba jedyną osobą cieszącą się z tak licznego napływu turystów była właścicielka łąki. Zainkasowała należność i bez drgnięcia powieki wskazała mieszczuchom drewnianą wygodkę na skraju lasu oraz prysznic na prowizorycznym drewnianym rusztowaniu, do którego woda – a jednak, tylko zimna! – doprowadzona była gumowym wężem wprost z jeziora.

Ada, poruszona spotkaniem z chłopakiem, który z pamięci recytował Leśmiana, minęła kilka maleńkich jedynek tworzących ciasny krąg. Ktoś palił ognisko w wyznaczonym do tego miejscu, z dala od drzew. Kilka osób w milczeniu obsiadło drewniane ławy, skwierczała tylko nadziana na patyki kiełbasa. Atmosfera skupienia i powagi emanowała z tej strony, choć w blasku ognia można się było zorientować, że są to całkiem młodzi ludzie.

Dziewczyna poszła dalej, w stronę srebrnego namiotu połyskującego tropikiem w świetle księżyca. Dopiero gdy się zbliżyła, przyciągana wizją kolacji, zorientowała się, że to przecież nie jest ich namiot. Na butli gazowej grzał się kociołek, wokół unosił się mocny zapach gulaszu, a uzbrojona w łyżkę postać mieszająca zawzięcie w jego wnętrzu okazała się nie Irminą, ale młodym, grubawym facetem w podkoszulku i bermudach. Za chwilę ze srebrnej dwójki wypełzła obcięta na pazia dziewczyna w dezabilu i z chichotem przyłączyła się do degustacji. Tuż obok stał drugi namiot, czerwony, z którego dochodziły echa przytłumionej, lecz bardzo ostrej wymiany zdań.

Ada stanęła i rozejrzała się. Namiot Irminy rozbity był kawałek dalej, pod kępą brzoź. Był nieoświetlony, ale gwałtowne kołysanie na wszystkie strony świadczyło, że ktoś jest w środku – i działa. Ledwie rozpięła suwak i spróbowała na czworakach wejść do środka, w oczy uderzył ją snop ostrego światła. Z trudem zdusiła okrzyk bólu.

– A, to ty. – Irmina zgasła latarkę i wróciła do przerwanych czynności.

W całym namiocie kłębiły się fragmenty ich ekwipunku, a doświadczona turystka z paniką w czarnych oczach usiłowała poupychać je na chybił trafił w gumowe sakwy.

– Za dużo tego mamy, za dużo! Nie zmieści się, cholera, do kajaka! – jęknęła.

Oślepią Ada padła na kolana pośrodku tego pobojowiska. Gdy wzrok jej oswoił się trochę z ciemnością, stwierdziła, że przyjaciółka w ferworze przygotowań dobrała się także do jej rzeczy.

– Dlaczego to robisz po ciemku? – zapytała, wyciągając Irminie z ręki swoją kosmetyczkę oraz zwiniętą w ciasny rulon pelerynę przeciwdeszczową.

– Nie chcę zwracać na nas niepotrzebnie uwagi! – szepnęła Irmina, błyskając dziko białkami oczu i miotając się tak, że cały namiot zachwiał się w posadach. – Dopiero gdy wypłyniemy, poczuję się bezpiecznie!

Ada potwierdzająco skinęła głową, choć wydawało się jej, że użycie latarki w namiocie raczej nie zwróci niczyjej uwagi. Gnębiło ją jednak coś innego.

– Słuchaj, doczepił się do mnie taki jeden na pomoście...

Irmina znieruchomiała. Przez chwilę było słycać tylko ich oddechy.

– Co za jeden?
– Taki gostek z gitarą. Chyba nawet dokładnie nie widział mojej twarzy, bo już ciemno było...

– No to co mnie straszysz!

– Tak tylko pomyślałam, że to może mieć znaczenie.

Irmina wzruszyła ramionami i wróciła do swych rozpaczliwych wysiłków ułożenia wszystkich rzeczy w dwóch żeglarskich workach.

– No nie damy rady, za nic! – popłakiwała co jakiś czas, dozrucając potem dla równowagi soczyste przekleństwo. – Trzeba będzie połowę tego majdanu wywalić rano do kosza!

Ada poczuła, że w środku robi się jej zimno. Nie była gotowa na takie poświęcenie. Nie posiadała tych ubrań znowu tak wiele, a już na pewno nie miała perspektyw, że ktoś po wakacjach dokupi jej wyrzucone części garderoby. Postanowiła jednak na razie nie drażnić Irminy, która ze wzoru determinacji i opanowania, jakim była jeszcze z rana, przeistoczyła się teraz niespodziewanie w kłębek nerwów.

– Poczekajmy z tym do jutra. Może za dnia wszystko zacznie inaczej wyglądać – powiedziała pocieszająco, po czym niewinnie zagadnęła na temat kolacji. Irmina, zgodnie z przewidywaniami, zaraz odzyskała równowagę.

– Mamy tylko kanapki z drogi – oświadczyła. – Nie chciałam rozpalać butli, bo to mogłoby wyglądać podejrzanie, a poza tym trzeba oszczędzać gaz na spływ. To zupełna głusza, tak jak ci mówiłam, tydzień totalnej izolacji. Jak się nam gaz skończy, to mogiła. Na pewno nie kupimy nigdzie nowej butli!

Ada westchnęła i przez głowę przemknęła jej myśl, że jakoś inaczej miało to wszystko wyglądać, kiedy w Warszawie planowały wspólnie tę wyprawę. Nic jednak nie powiedziała, tylko

sięgnęła po zwiędłą z wierzchu, a w środku namokniętą kanapkę. Irmina zmarszczyła nos i podziękowała.

– Nie mogę jeść, jak jestem taka podniecona! – powiedziała dobitnie. – A w ogóle to nie krusz mi tu w namiocie, tylko idź sobie na dwór. I nie zadawaj się tam z nikim!

I tak Ada znowu znalazła się pod gołym niebem, na którym pyszniła się nieco już nadgryziona połówka księżycy oraz mieniły się tysiące gwiazd.

Gwiazdy się palą – kryształą
Błękitne – różowe – zielone!...

Jakiś wielki żal ścisnął ją za serce i mimo że była głodna, odechciało się jej jeść.

Stała jeszcze długo w ciemności koło namiotu, nie zwracając uwagi na szalone łopotanie tropiku, pod którym miotła się przyjaciółka. Słuchała miarowego cykania świerszczy, szeptów ludzi rozproszonych na polu kempingowym oraz szmerów nocy. Zdało się jej, że od strony jeziora biegną ku niej ciche dźwięki gitary.

Małgośka wgrzył się w prawie spalony kawałek kiełbasy z pasją, na jaką było stać tylko głodnego dwudziestolatka. Smakowała jak węgiel, ale to mu nie przeszkadzało. Znany był z tego, że jadł wszystko, nie wybrzydzał, a zupę pomidorową odróżniał od grzybowej tylko po kolorze. Inna sprawa, że to, co zdarzyło mu się kilka razy samemu ugotować, też było dość trudne do sklasyfikowania. Dla Małgośki bowiem jedzenie stanowiło sprawę drugorzędną. Ważne, by go było dużo – ciągle jeszcze rósł, choć

osiągnął już metr dziewięćdziesiąt pięć – ale do takich szczegółów, jak smak, zapach czy konsystencja, po prostu nie miał głowy.

Tak jak z tą kielbasą. Zamyślił się, zapatrzony w pomarańczowy żar, zastanawiając się, czy ujarzmienie ognia przez człowieka miało jakiś istotny wpływ na rozwój poczucia wspólnoty i życia społecznego pierwotnych, czy też wręcz przeciwnie. Bo przecież posiadanie krzesiwa dawało jednostkom pewną niezależność, podczas gdy bez ognia ludzie zmuszeni byli raczej trzymać się w kupie, jak choćby te cesarskie pingwiny na Antarktydzie – żeby im było cieplej. Zanim zdążył rozstrzygnąć tę kwestię, kielbasa była zwęglona i tylko nagłej interwencji Poprawczaka, który bez słowa wyciągnął mu kij z ogniska, Małgośka zawdzięczał fakt, że jeszcze dało się ją ugryźć.

Zakąsił teraz pajdą chleba i rozejrzał się wokół. No tak, Andrzeja ani śladu, urwał się zaraz po przyjeździe. Wolny ptaszek, nic nie będzie robić na dźwięk gwizdka. Trudno, jego prawo.

Małgośka bez słowa wstał ze swojego pieńka, sięgnął po następny kawałek kielbasy i nabił na patyk. Upieczone przyjacielowi kolację i zostawi w namiocie, bo kiedy ptaszek wreszcie się odnajdzie, może już być za późno, żeby coś jeszcze wrzucić na ruszt. A jak nie będzie chciał kielbasy, to cóż, zje się samemu, przecież żywności wyrzucać nie wolno.

Małgośka miał na imię Jurek, a swoją ksywę zawdzięczał bujnej blond fryzurze, związanej na karku w kitę, której mogłaby mu pozazdrościć niejedna dziewczyna. Prócz tych włosów nie było w nim nic z niewiasty, był wielki, barczysty i zarosnięty, ale wiadomo – do nadania przezwiska wystarczy byle co.

Studiował geodezję na Politechnice Warszawskiej i tam też spotkał pewnego dnia Andrzeja błakającego się po korytarzach z nieprzytomną miną i usiłującego określić lokalizację swoich

zajęć. W jaki sposób ten poeta i marzyciel znalazł się na kierunku lotnictwo i kosmonautyka, tego nie tylko Małgoška, ale i dużo mądrzejsi od niego ludzie – jak choćby kadra profesorska – nie potrafili zrozumieć. Faktem jest, że Andrzej jakimś cudem zaliczył wszystkie egzaminy (niektóre nawet w trybie przedterminowym) i już w połowie czerwca został studentem drugiego roku. Kilka osób zasugerowało mu jednak tuż przed wakacjami, by dobrze sobie przemyślał, czy konstruowanie maszyn latających jest na pewno tą rzeczą, którą chce w życiu robić. Małgoška też miał osobiście to i owo do przemyślenia, a ponieważ myśleć można wszędzie, również na spływie, zaprosił przyjaciela na wspólną wyprawę kajakową pod sztandarem dominikańskiego duszpasterstwa akademickiego. Andrzej zgodził się dość chętnie, spakował kilka podkoszulków, gitarę, tomik poezji i wsiadł do pociągu. Dziś wieczorem dotarli nad Jezioro Kamienickie, skąd miała się zacząć ich wodniacka przygoda.

– Czad – oznajmił zaraz na początku Andrzej, zrzucając z ramion plecak, ocierając pot z przykurzonego czoła i omiatając zachwyconym spojrzeniem całą okolicę: stare budynki z czerwonej cegły, rozległe pole namiotowe z kępami brzoź i gruntową drogę obrosniętą samosiejkami, wiodącą nad jezioro, które skrzyło się gdzieś w prześwitach zieleni. – Czad po prostu epicki!

Reszta drużyny w milczeniu skinęła głowami. Wszyscy pomysleli tak samo, ale tylko Andrzej potrafił ubrać to w słowa.

Nie dorobił się jeszcze w grupie przezwiska i trzymał się trochę na uboczu, Małgoška był jednak pewny, że szybko się zintegruje. Na razie warunki nie były sprzyjające. Części uczestników spływu – głównie dziewczyn – ciągle nie było, a z tymi, którzy przybyli na miejsce zbiórki, nie dało się chwilowo porozmawiać.

Opiekun grupy ojciec Jan Kalita, człowiek dobry do szpiku kości, lecz obdarzony jakimś dziwnym zacięciem do wojskowego drylu i zimnego wychowu młodzieży, wściekł się zaraz na początku, że żeńska część załogi nie dojechała w umówionym terminie i w związku z tym cała impreza rozlaży mu się w czasie oraz przestrzeni. Jego zdenerwowanie było o tyle uzasadnione, że początkowo miał być to wyjazd formacyjny, przeznaczony tylko dla wybranych chłopców. Dopiero w ostatniej chwili, pomimo wielu wątpliwości, zdecydował się dokooptować dziewczyny. I od razu tego pożałował, przekonując się, że wcale nie można na nich polegać.

Ponieważ nie mógł wyciągnąć konsekwencji wobec nieobecnych, Bogu ducha winnym obecnym zapowiedział od razu ostrą dyscyplinę i na dobry początek nakazał im milczeć aż do północy. Rozbijali namioty, szukali drewna i jedli kolację w kompletnej ciszy. Tylko Andrzej – jeszcze nieorientowany w panujących układach – rozstawił swoją jedynekę, wrzucił do niej plecak, a potem wziął gitarę i poczłapał na pomost.

– Szkoda zmarnować taki przedwieczerz – mruknął na odchodnym, ścigany trochę zdziwionym, trochę rozbawionym, ale przede wszystkim bardzo czujnym spojrzeniem duszpasterza.

Który – mimo że przedwieczerz był zaiste piękny – swojego nakazu milczenia nie odwołał, zapisał sobie natomiast w pamięci, by zwrócić na „nowego” baczną uwagę.

Kilkanaście kilometrów dalej Magda Mędrus z napięciem wpatrywała się w ciemność za szybą rozpędzonego samochodu. Szukała wzrokiem zielonej tablicy z nazwą Kamienicy Królewskiej.

Znalezienie wsi nie oznaczało jeszcze pełnego sukcesu, potem musiała zlokalizować jezioro oraz położone nad nim gospodarstwo rolne z kempingiem. Nawigacja ciągle się psuła i właśnie przed chwilą prowadzona przez Mędrusów kawalkada pięciu samochodów zgubiła drogę, zjeżdżając zbyt wcześnie na Mirachowo. W gęstym lesie automatyczny pilot zamilkł już na dobre, na szczęście w mijanej wsi grupa pijaków pod czynnym do północy sklepem spożywczym poinformowała ich, że tędy też mogą dotrzeć do celu.

Obraz, który Magda widziała w świetle reflektorów przez przednią szybę, rozmazywał się w monotonny czarnozielony pas. Żywiła uzasadnione obawy, że mąż widzi niewiele więcej.

– Za szybko jedziesz! – syknęła.

Sławek gnał przez Lasy Mirachowskie na złamanie karku. Przyczepa z kajakami, którą za sobą ciągnęli, podskakiwała wariacko na wszystkich wybojach i nierównościach wąskiej drogi. Blisko za nimi, jakby w obawie, by ich nie zgubić w ciemności, pędziły auta przyjaciół. Od lat już zwykli spędzać jeden czerwcowy tydzień na spływie kajakowym. Choć uczestniczyło w nim pięć rodzin, to właśnie Mędrusy brały na siebie zawsze trud zorganizowania wyprawy.

Magda odwróciła się i spojrzała na tylne siedzenie, gdzie wyjątkowo zgodnie drzemały jej pociechy, sześcioletni Misiiek i szesnastoletnia Andzia. Leżący u ich stóp wielki pies uniósł łeb i rzucił jej spod ciężkich powiek wierne, oddane spojrzenie. Wyciągnęła rękę i podrapała go za uchem, potem znowu zerknęła przez przednią szybę.

– Uważaj! To już tu!

Sławek przyhamował z piskiem opon, przyczepą zarzuciło, na szczęście w porę wzięli właściwy zjazd. Policzyła odbite

w bocznym lusterku światła skręcających za nimi samochodów. Jednego brakowało.

Nie było łatwo zasnąć po raz pierwszy pod chybotliwym dachem z materiału przy wszystkich odgłosach nocy dobiegających zza cieniutkich ścian. Ale po emocjach tego dnia dwa młode, zaledwie osiemnastoletnie organizmy, zmęczone wolnością i niezależnością, bardzo potrzebowały wypoczynku. Ada śniła, że leci pośród gwiazd, które – rozrzucone po czarnym nieboskłonie – mienia się wszystkimi kolorami tęczy. Z dołu zaś ktoś wygraża jej gitarą i krzyczy, żeby się zatrzymała. Irmie też się śniły jakieś uciezki i pogonie, z tym że w roli głównej występowały krwiożercze kanapki, kłapiące jej nad uchem zębami z rzodkiewek i pomlaskujące plastrami szynki.

Gdy dobrze po północy potężny snop światła wdarł się przez tropik do środka namiotu, a na zewnątrz dały się słyszeć pomieszane ludzkie głosy, trzaskanie drzwi, pisk i śmiechy dzieci, a nawet jedno czy drugie szczeknięcie, przyjaciółki obudziły się z prawdziwą ulgą.

– Matko, co to? – zapytała sztywno wyprostowana w śpiworze Irmina, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w łukowate sklepienie.

– Ktoś przyjechał – odparła Ada, zwijając się w kłębek i wtulając twarz w jasiek, by odgrodzić się jakoś od całego tego harmideru na zewnątrz. Było to jednak niemożliwe.

– ... kolizję z dzikiem! – dało się słyszeć damski głos. Ktoś krzątał się tuż obok, tupał, smugi światła tańczyły na płótnie. – Co za pech! Jakby się dzisiaj wszystko sprzysięgło przeciw nam!

– Wcale mnie to nie dziwi. Ale dojechaliśmy, to jest teraz najważniejsze. Choć trochę szkoda było zostawiać w rowie tego warchlaczka! Takie świeżutkie mięsko, pieczeń byłaby z niego przednia... – włączył się męski głos, po czym coś gruchnęło na trawę. Sądząc po odgłosie, był to pakunek z namiotem. – Tutaj rozbijamy?

– Owszem. Dlaczego cię nie dziwi?

– Bo jechaliśmy przez Las Mirachowski. On tak już ma. – Mężczyzna zniżył głos do szeptu. – Ponoć dziwne rzeczy się w nim dzieją! Niektórzy nawet mówią, że to miejsce nawiedzone...

– Nawiedzone, dobre sobie! Po prostu przebiegło nam drogę stado dzików! A ty znowu bajdurzysz – przerwała mu kobieta. Choć też starała się mówić szeptem, jej głos przenikał przez cienkie ściany równie łatwo jak baryton mężczyzny. Coś zaszeleściło. – Rozwijaj, Tadziu, rozwijaj, przecież nie będziemy się z tym bawić do rana!

– Różne historie ludzie opisują na forach – ciągnął mężczyzna, rozwijając z głośnym szelestem. – A nawet w przewodniku po Kaszubach, w poważnym wydawnictwie, można wyczytać to i owo o Lesie Mirachowskim.

– W przewodniku? Że niby co? – Teraz metalicznie zabręczały wyciągane z worka śledzie i maszty.

– Podobno tutaj nadal działają nadprzyrodzone siły... – Tadzio jeszcze bardziej zniżył głos, a Ada mimowolnie wy tężyła słuch. Poczowała dziwne podniecenie i gęsią skórkę na ramionach. – Czasami wprost bezczelnie! Robią z ludźmi, co się im żywnie podoba. A jak ktoś ma już wyjątkowego pecha, to może nawet osobiście spotkać Złego.

– Złego? Osobiście?

– Co się dziwisz? To prastare pogańskie tereny. Całe rzesze różnych demonów zaludniały w dawnych czasach okoliczne gaje, wzgórza i źródelka. Coś tu po nich na pewno zostało! Kilka kilometrów stąd leży na przykład diabelski kamień, największy na Kaszubach. Pękł, gdy go Zły cisnął na ziemię o poranku, zaskoczony paniem koguta...

– Bajki! – prychnęła kobieta.

Tadzio, niezrażony, ciągnął dalej:

– Jest też takie jedno miejsce, całkiem niedaleko Kamienicy, nazywa się Góra Zamkowa. Podobno leży tam pogrzebany pies, który przy pełni księżyca wstaje i krąży po okolicy. Jak kogoś spotka...

– Wiesz co, zamknij się lepiej, bo jeszcze obudzisz dziewczynki! Dobre sobie! Pies pogrzebany! – zdenerwowała się kobieta. – Wszystkie tereny kiedyś były pogańskie, i co? Wszędzie straszy?

Niewyraźne mruknięcie, które dobiegło w odpowiedzi, sugerowało, że tak.

– Ale ciekawa jestem, swoją drogą, czemu Mędrusy wybrały w tym roku właśnie Bukowinę i Łupawę... To ponoć bardzo trudna trasa, wyczerpująca... Ejże! Tadziu, popatrz tylko, co robisz!

– No co, zawinął mi się!

– To go odwiń, niezdarco.

– Ja ci mówię, Gosieńko, że to diabelska robota. Jakieś лихо poplątało mi naciąg!

– Jeszcze raz usłyszysz te bzdury, a będziesz spał na trawie!

– Dobrze już, dobrze. Ale przyznaj, że trochę żal było tak zostawić tę świnkę w rowie...

Dalsze rozbijanie namiotu odbywało się już we względnej ciszy, lecz Ada jeszcze długą chwilę dygotała z podniecenia. Od kiedy

przyjechała w to miejsce, czuła jakąś niesamowitą aurę. Choćby niedawno, o zmroku, na pomoście. Ciągłe nie była pewna, czy chłopak z gitarą był naprawdę z krwi i kości! Podsluchana rozmowa umocniła jej podejrzenia, że mógł to być tylko majak wywołany przez wyobraźnię – lub jakąś nieczystą siłę.

– Ada? Wierzysz w duchy? – szepnęła nagle Irmina, dotąd leżąca bez ruchu i słowa.

Dziwnie zabrzmiało to pytanie w ustach twardo stąpającej po ziemi realistki. Tym bardziej że głos jej lekko drżał.

– Czy ja wiem? Chyba nie. – Choć Ada starała się brzmieć pewnie i przekonująco, nie udało się jej tego osiągnąć.

– Trochę przerażające to wszystko – powiedziała Irmina miękko. – Aż się cała trzęsę w środku. Kiedy jeździłam na kajaki z rodzicami, nigdy tak nie było.

– Zawsze jeszcze możemy zawrócić.

– Nie! – To stwierdzenie było mocne jak stal i Ada zdała sobie sprawę, że żadne strachy nie zmuszą teraz przyjaciółki do odwrotu. Sama może by się nad tym jeszcze zastanawiała, wciąż nie było za późno... Komórka, wyłączona wprawdzie, lecz z pełną baterią, leżała pod poduszką gotowa do użytku.

Ale przygoda wabiła tak kusząco! Wszystko wokół było może i trochę niesamowite, lecz też piękne i takie... magiczne. Jak w wierszach Leśmiana. A o prozie życia i o tym wszystkim, co na nią czeka w domu, Ada wołała na razie w ogóle nie myśleć.

Ziewnęła więc, przewróciła się na drugi bok i zasnęła, kołysana coraz cichszymi odgłosami krzątania dobiegającymi zza prowizorycznej ściany.

Pomoc nadeszła już po północy. Chłop ze wsi Nowa Huta koło jeziora Kamienne długo i mozolnie – z pomocą konia oraz grubego powroza – wyciągał ścigacz z trzęsawiska. Właściciel motoru siedział obok na kupie jakichś gładów, mocno już wstawiony. W jednej ręce trzymał reflektor, a w drugiej puszkę piwa. Snop światła tańczył na mętym kozuchu bagienka, płosząc konia i niepokojąc ptaki w zaroślach. Gdzieś z boku dochodziło nawoływanie puszczyka. Chłop posapywał, a młodzieniec przeżuwał przekleństwa i splukiwał je piwem. Od czasu do czasu, gdy słyhać było metaliczne pobrzękiwanie hondy, podrywał się i nakazywał staremu ostrożność.

Płakać mu się chciało. Kochał ten motor jak mało co na świecie. I teraz, przez własną głupotę, omal go nie stracił!

Najgorsze było to, że w ogóle nie wiedział, jakim cudem się tu znalazł. Jakie licho zagnało go na odludzie, na podmokły i zdradliwy teren rezerwatu Żurawie Błota, kilka dobrych kilometrów na wschód od Kamienicy Królewskiej?!

– Ejeje! Prrr! – Gospodarz osadził konia, a ociekająca wodą i błotem honda spoczęła na stałym gruncie. – No to będzie.

Odwrócił się i otarł pot z czoła.

– Wygodnie wam na tym kurhanie? – zapytał z ciekawością.

Młodzieniec poderwał się z kamieni, jakby go nagle upiór chwycił lodowatą ręką za przyrodzenie. Puszczyk znowu przejmująco zahukał w ciemności.

– Kur... Co?! Na czym?!

– Na kurhanie. To, na czym siedzieliście. Pełno ich w tej okolicy i są bardzo dobrze zachowane. Mnóstwo ludzi tu przyjeżdża, żeby je oglądać – wyjaśnił spokojnie Kaszuba. – Mówią, że jakaś

energia się z nich wydobywa. Jedni, że dobra, inni, że zła. Kto by się tam w tym rozeznał.

Mężczyzna aż się wzdrygnął.

– Dobra, dobra, kończmy już wreszcie! Nie będziemy się tu bujać do rana!

– To trzy stóweczki się należą, jakieśmy gadali.

Młody człowiek też otarł pot z czoła, z niedowierzaniem kręcąc głową. Jednym długim haustem dopił piwo, zgniótł puszkę w dłoni i cisnął w krzaki. Wielkie ptaszysko, spłoszone, poderwało się do lotu. Motocyklista odłożył latarkę na deski drabiniastego wozu, z niechęcią pogrzebał w portfelu i wyciągnął pieniądze.

– Ale, ale! – Nagle zmienił zdanie. – Pieniądze będą, jak się umawialiśmy, dopiero jak mi zawieziecie ścigacza do wsi! Nawet nie wiem, czy jeszcze odpali... – Rozczulił się i pieśczośliwym ruchem pogładził lśniąca nigdyś blachę motoru.

– Pieniądze będą tera – oświadczył Kaszuba twardo, przerywając poklepywanie konia po szyi, stając w rozkroku i wysuwając do przodu nieogolony podbródek. – A za jeszcze jedną stóweczkę dam wam nocleg i śniadanie i użyczę stodoły, co byście sobie mogli rano to чудо odczyścić.

Właściciel motoru przez chwilę rozważał propozycję, a potem bez słowa wręczył mu banknoty. Złapał się na tym, że aż do bólu zaciska szczęki, a zęby trzonowe trzeszczą mu od nagromadzonej złości.

Tak, był zły. Był nawet bardzo zły, ale nie miał wyboru.

Czuł się skrzywdzony, okradziony, zrobiony w ciuła i pozbawiony szansy na odwet. I to bynajmniej nie przez tego chłopca! Z wściekłością kopnął koło od wozu, a w bucie mu zachlupotało. Co go tak dzisiaj zamroczyło?! Przecież nawet nie pił przed wyjazdem z Warszawy! Czuł, jakby miał w mózgu jakąś czarną

dziurę – najpierw dojeżdżał do Kamienicy, całkowicie skoncentrowany i świadomy celu, rozmawiał z jakimś obcym nad brzegiem jeziora, a potem nagle ocknął się w środku bagniska.

Gospodarz zaprzągnął konia, ściągnął z wozu szeroką deskę i wspólnymi siłami wtoczyli po niej ścigacza. Siedząc niewygodnie tuż obok swej hondy, motocyklista zbierał myśli. Wiedział, że musi odpocząć. Jutro rano trzeba będzie za wszelką cenę uruchomić motor. Potem wróci nad to jezioro, Kamienne czy Kamienickie, czort jeden wie, i...

Mimowolnie zacisnął pięść. Jechał na to zadupie z resztkami dobrej woli po to, żeby porozmawiać, znaleźć jakieś rozwiązanie, szukać zgody. Teraz – po tym wszystkim, co go tu spotkało! – czuł już tylko pragnienie zemsty.

Nie miał jeszcze żadnego planu, ale wierzył, że instynkt – instynkt łowcy, drapieżnika, zdobywcy – we właściwej chwili podpowie mu, co robić.

Wóz skrzypiał i kołysał się na wybojach drogi, a młody człowiek gładził wysychające błoto na czarnym lakierze hondy i przemawiał do siebie motywacyjnie, tak jak go uczyli na ostatnim szkoleniu w firmie.

Wszystko będzie dobrze. Trzeba tylko naprawić hondę. Gdy już wiatr zaświszcze mu w uszach, gdy znowu poczuje pęd powietrza na twarzy, a w dłoniach, udach i łądźwiach tę siłę stu koni mechanicznych – znowu będzie sobą! Nie załamany, popłakującym w kącie mięczakiem, lecz dawnym Wiktorem – zwycięzcą.

Nikt nie będzie kpił z Wiktora, nikt! Nawet sam diabeł! Jeszcze zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni!